

Wiadomość wydrukowana ze strony www.nto.pl

Magazyn nto, 18 lipca 2010, 14:30

Był sobie chłopak. Opowieść o dzieciństwie spędzonym na Podolu

Danuta Nowicka

Rozmowa z Jerzym Beskim, opolskim malarzem i autorem wspomnień zawartych w publikacji "Moje Podole. 1930 – 1945".



Jerzy Beski
(fot. Sławomir Mielnik)

- To ten kufer?
- Ten. Słyszysz pani, jak go otwieram i zamykam? Właśnie ten dźwięk miałem na myśli, pisząc o dzieciennych zabawach w trzaskanie i gwizdanie.
- Nie wspomniał pan o obrazku pod wiekiem, który pięknie się zachował, choć kufer ma już swoje lata. Pana ojciec przywiózł go w 1921 roku z Ameryki...
- To tylko reprodukcja: przeprawa przez rzekę wozem zaprzężonym przez osła.
- Bardzo mnie pan wzruszył swoją historią lat chłopięcych...
- Po niedawnej operacji oka okazało się, że straciłem ostrość widzenia, drugi zabieg niewiele zmienił. Z konieczności przerwałem malowanie, a że zawsze dużo pracowałem, zaczęło mi to przeszkadzać. Postanowiłem się pozbierać, a poza tym pisanie od dawna za mną chodziło. Był czas, kiedy groziła nam wywózka na Sybir i nieraz zadawałem sobie pytanie, co nas tam czekało.

- Rozważał pan życie alternatywne?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie stresowała zamiana pędzla na pióro?

- Nie. Przekonałem się, że wspomnienia nie muszą osiągać literackiego apogeum. Z równą ciekawością czytałem bardzo nieporadnie napisane, jak i te, które miały wartość literacką.

- Pan sobie nieźle poradził.

- Czuję się lekko zażenowany.

- Ze zdziwieniem przyjmuję, że tekst rodził się w trudnym dla pana okresie, bo emanuje z niego spokój. I to spokój kłócący się z opisywanymi wydarzeniami.

- Pisząc - raczej odejmowałem, niż dodawałem. Bałem się opisów, ponieważ pamięć w moim wieku podsuwa różne rzeczy; już się nie pamięta, co człowiek przeżył, a co sobie wyobraził. Pchały mi się pod pióro pewne efektowne okoliczności i zdarzenia, ale się przed nimi broniłem. Np. w początkowym rozdziale piszę o kamiennym mostku w drodze z Trembowli do Warwaryniec, gdzie mieszkali dziadkowie, ale już nie wspominałem, że właśnie na nim zbito dwóch młodych mężczyzn z dalszej rodziny. To właśnie na nich czekaliśmy z bratem z naszą pierwszą Wigilią po śmierci rodziców. Nie wspominałem o tej analogii, nie chciałem pójść na łatwiznę. Inny przykład: syna jednego z nich w tym samym miejscu dosięgła kula. Był wcielony do "istrebitelnych batalionów", zwalczających banderowców. Został postrzelony, w tym stanie chyłkiem wpuszczono go do domu, a nazajutrz rano znaleziono martwego pod wygryzioną nogą stołu. Ze strachu go uciszano, a tak bardzo go bolało... Taką wersję słyszałem, ale może było inaczej? Na wszelki wypadek wolałem temat nie tykać, choć, owszem, pokusa występowała. Przez szacunek dla faktów nie chciałem ryzykować. Pamięta pani fragment o tym, jak po niemieckim nalocie w piramidę ziarna w naszej stodole trafiła bomba? Otóż wiosną następnego roku zboże wyrosło nawet na dachach sąsiednich domów. Zbyt malowniczy widok, by go opisywać.

- Po różnych tragicznych przejściach zdecydował się pan z bratem spakować amerykański kufer i w 1945 roku wyjechać na Zachód. Pisząc o tej niezwykle trudnej dla młodych ludzi – miał pan zaledwie 15 lat, a brat 17 – decyzji nie użala się pan nad swoim losem.
- Wielu go podzielało.

- W "Moim Podolu" ceniony opolski malarz pasie krowy i kozy...
- A czego tu się wstydzić? Otrzymałem zadanie i chwałę sobie, że potrafiłem się z niego wywiązać. A poza tym nigdy nie czułem się gorszy. Nie odczuwałem kompleksów wobec serdecznego kolegi Franciszka Starowieyskiego - kiedy spotkaliśmy się ostatni raz, piliśmy wino do czwartej nad ranem. Mimo że on miał w domu bonę i uczył się języków, a ja pochodziłem z małego miasteczka na rubieżach.

- Wzruszył mnie pan również dlatego, że w opowieściach moich rodziców często występowała Trembowla.
- Już po napisaniu wspomnień uświadomiłem sobie, że los mojej rodziny bardzo się wpasowuje w los tamtych rodzin i tamtych ziem. W ciągu kilkuset lat Trembowla była najeżdżana 30 razy, a najazd Turków czy Tatarów oznaczał rzeź i zabranie w jasyr. Jeżeli dodać do tego zarazy, pożary i inne klęski żywiołowe, można sobie wyobrazić ogrom spustoszenia. Kiedy tu przyjechaliśmy, Słazacy odbierali nas jako dzikich, prymitywnych ludzi, ponieważ nie mieli świadomości, że na Wschodzie nie można się było czegokolwiek dorobić. Mój tato kształcił krawieckie umiejętności w Wiedniu i w Ameryce, wzbogacił się, postarał się dobrze zainwestować i zostało z tego zero.

- Był czas, że zatrudniał sześciu pracowników...
- Ale przyszedł kryzys. Żydowski wspólnik uniknął jego skutków, zwinął się wcześniej, a tato musiał spłacać długi i wie pani co jeszcze? W 1939 roku radziecka władza, czego już nie napisałem, upomniała się o niespłaconą resztę. Za pożyczkę zaciągniętą w Banku Polskim! Ojciec nie wpłacił ani kopiejki, za co ukarano go konfiskatą majątku i domu. Czasem ten dom, już nieistniejący, widzę we śnie: pokój jadalny o wysokich oknach, portiere w wiedeńskim stylu, również na drzwiach. Dużo kwiatów; matka, jak to się mówi, miała do nich rękę. Zimą stała ogromna, wspinała choinka z wisiorami z koralików i bańkami. Widzę także naszą służącą, drobną Stefę, która wychowywała i mnie, i starszego o dwa lata Staszka. Pracowała u nas długo, długo pozostawała w mojej pamięci, ale potem znikła. Pamięć ma jakiś własny tajny mechanizm, który najgorsze rzeczy odsuwa, a dobre ułaskawia. Przynajmniej moja...

- Obraz wkroczenia Armii Czerwonej jednak pozostał...
- O tak. Pojawiło się niby-wojsko o ziemistej cerze, w długich, obszarpanych szynelach koloru gliniastej ziemi. Niektórzy mieli karabiny przytroczone grubymi telefonicznymi kablami. To był widok tym bardziej szokujący, że babcia opowiadała o urodziwych kozakach z okresu I wojny światowej.

- Kiedy zmarli rodzice, miał pan 13 lat. Skończyło się to, co dobre...
- Tak, bo wcześniejszy okres był beztroski. Tyle samo czasu, co w domu, w którym niczego nie brakowało, spędzałem po sąsiedzku, w kinie – do dziś mogę zaśpiewać piosenki, które odtwarzano w przerwie pomiędzy seansami. A potem przeszedłem bardzo przyspieszony kurs rozumienia świata. Zaczęły się wywózki i choć nikt nie mówił dokąd, wiedzieliśmy, że na Sybir. Przeżywałem to równoległe z dziecięcym wchłanianiem, zachwycając się światem, choćby u rodziny na wsi, dokąd uciekliśmy przed bombardowaniem. Dzieci w Oświęcimiu też umiały się bawić... Tak było, ale po co wskrzeszać teatr okrucieństwa.

- Po wojnie odwiedził pan rodzinne strony?
- W latach 80., kiedy w drodze do Bułgarii przejeżdżałem przez Trembowlę, nawet nie poszedłem na cmentarz: groby moich bliskich pewno zrównano z ziemią. Byłem szokowany, że moja pamięć niczego nie skłamała, że wszystko było dokładnie takie same, tylko dwa, trzy razy mniejsze.

- Jak poza tym wypadło porównanie?
- Że to już nie to. Miasto tworzą ludzie, a tamtych ludzi już nie było.

- Rok 1945 zamyka pana pisane dzieje.
- Z bratem praktycznie rozstaliśmy się. Wylądowałem w Koźlu, a tam za darmo – z czego miałbym płacić? – zamieszkałem w internacie, a kiedy dostałem się do liceum plastycznego we Wrocławiu, zmieniłem adres na dom dziecka RTPD. Proszę sobie wyobrazić, że zachowałem stamtąd dobre wspomnienia: nie byłem głodny, pokój zajmowałem z rówieśnikami. Wychowawcami byli AK-owcy z powstania warszawskiego, którzy reprezentowali patriotyzm najwyższej rangi.

- Okoliczności także godne opisania...

- Nie był to już tak klarowny okres, jak z "Mojego Podola". Już w liceum byłem skłócony z powszechną religijnością, inaczej niż mój brat. Musiałem sam sobie radzić, nie zawsze skutecznie. Przypomina mi się pewna anegdota: kiedy dowiedziałem się, że pod Wrocławiem mieszkają państwo Muszyńscy, nasi bliscy znajomi z Trembowli, którejś niedzieli postanowiłem ich odwiedzić. Miałem swój cel. "Co pan sądzi" – spytałem gospodarza – "bo samodzielnie nie umiem sobie wyrobić zdania, o tym, co się dzieje?" A on po zastanowieniu powiedział: "Jest tak, jak być powinno, dążenie, by nastąpiła większa sprawiedliwość. Niestety, nic z tego nie będzie. Brakuje Boga". – "Stara śpiewka" – pomyślałem zniesmaczony, podziękowałem i pożegnałem się. To trwało do wybuchu "Solidarności". Wtedy zaskoczyłem: poczciwy pan Muszyński miał głęboką rację, tylko nie umiał jej przekazać. Kiedy powiedział, że bez Boga nic się nie uda, miał na myśli, że bez kośćca etycznego, którym jest religia i wiara, figa z makiem. Że też tego od razu nie chwyciłem, ale, cóż, byłem tylko samotnym chłopakiem.

- Wprosiłam się tutaj, bezceremonialnie **wlażę** w pana **życie**. Tego pan oczekiwał?

- Skoro wydałem książkę, bardzo prywatną - mam, czego chciałem. Nawet mnie to cieszy. Oczywiście nie czuję się pisarzem. Gdyby literat zabrał się za malowanie, też nie czułby się artystą. Chciałem tylko i ująłem to w zakończeniu książki, utrwalić część własnego świata. Choćby dlatego, że kiedy umarł mój brat, uświadomiłem sobie, że jego świat odszedł na zawsze.

* Jerzy Beski, "Moje Podole. 1930 – 1945". Nowik Sp.i. 2010.